

Michał Centkowski

Zerwane przymierze

"Za chwilę wejdę do nędznej i podejrzanej sali prób. Szedłem do niej długo, nocami bezsennymi. Szedłem na spotkanie, nie wiem czy z widmami, czy z ludźmi. Powiedzieć, że ich od wielu, wielu już lat tworzyłem byłoby za wiele. Dawałem im życie, ale i oni dawali swoje. Nie byli łatwi ani posłuszni. Wędrowali ze mną długo. Teraz mamy się spotkać, być może ostatni raz.(...) Jeszcze raz ich zobaczę, po tylu latach. Wszyscy byli biedni, z dna, wykolejency, zżarci przez życie. Wszyscy umarli" - tak zaczyna swoją opowieść Mészulach/Posłaniec, nasz przewodnik w dziwnej podróży po krainie umarłych. Należący do kanonu literatury żydowskiej dramat Szymona An-skiego, opowiadający historię tragicznej miłości Lei i Chunona, w interpretacji Mai Kleczewskiej i Łukasza Chotkowskiego, staje się nie tylko fascynującą przypowieścią o współobcowaniu żywych i umarłych, lecz także przejmującym i gorzkim traktatem o odchodzeniu, o nieuniknionym końcu każdego z naszych światów, a jednocześnie o ocalającej sile pamięci.

Pusta przestrzeń przywodzi na myśl w równym stopniu salę prób, co szpitalną, lub może raczej dworcową poczekalnię. Pod ścianą stoi rząd krzeseł, w kilku miejscach czarne mikrofony. Naprzeciw widowni wisi ogromne zwierciadło, w którym przeglądamy się raczej widzowie niż bohaterowie spektaklu. Ten sprytny gest wzięcia scenicznego świata niejako w nawias, nadanie wyraźnej ramy, stwarza dystans, chroniąc przed popadnięciem w jakąś pretensjonalną konwencję parareligijnego misterium. A jednak mimo tego cudzysłowu, udaje się twórcom wykreować na scenie hipnotyzującą i pochłaniającą widza aurę niesamowitości. Ów niezwykle świat ożywa przede wszystkim za sprawą znakomicie wyreżyserowanego przez Wojciecha Pusia światła oraz zachwycającej ścieżki dźwiękowej autorstwa Stefana

Węglowskiego, dzięki którym ta realistyczna, z pozoru konkretna przestrzeń, zmienia się w przedziwną, oniryczną krainę "pomiędzy", wieczne tu i teraz, w którym egzystują postaci.

Wkraczając w tę rzeczywistość natychmiast zmuszeni jesteśmy zakwestionować swój bezpieczny, oczywisty i wynikający z uświęconego tradycją konwensu odbiorczego status. Czy to my przyglądamy się widmom? A może to nasze twarze odbite w zwierciadle symbolizują niezliczone pokolenia tych, którzy odeszli, i to nam przyglądają się bohaterowie? A może bierzemy udział w dziwnym eksperymencie i niczym w muzeum, albo raczej laboratorium, przyglądamy się z ciekawością ostatnim, żyjącym między nami, Żydom?

"Dybuk" zaczyna się subtelną sceną miłosną. Lea (charyzmatyczna Magdalena Kolesnik) i Chunon (świątynny Piotr Stramowski) leżą na scenie w półmroku, wtuleni, mówiąc do siebie słowami z "Pieśni nad Pieśniami". Dziewczyna skrywa się pod ubraniem ukochanego. Ta chwila szczęścia i niewinności, rozświetlająca mrok ponurego świata, szybko gaśnie. Znamy ich los. Sender złamie swe przyrzeczenie i wyda córkę za innego. Chunon umrze z rozpacz, by powrócić jako Dybuk. Zaś jego śmierć, kres tej miłości, będzie dla Lei końcem jej świata.

Kleczewska pokazuje nam świat zainfekowany śmiercią, której groza - niczym fatum - zatruwa bohaterów. To obcowanie ze śmiercią i z umarłymi jest prawdziwym sensem tej opowieści. Wkrótce nadejdą widma, zacznie się smutna ceremonia zaślubin.

"Człowiek rodzi się na długie, długie życie. A gdy umiera przed czasem, to gdzie podziewa się jego nie przeżyte do końca życie? Jego radość i jego cierpienie? Jego myśli, których z braku czasu nie zdążył pomyśleć, jego czyny, których nie zdążył spełnić? Gdzie wszystko się podziewa? Gdzie? () Gdy zgaśnie świeca, zapala się ją na nowo i wtedy pali się dalej, aż do końca. Więc jak to może być, że zgaśnie niewypalone światło życia?". Najpierw głosami duchów, w jidysz, potem po polsku, aż wreszcie ustami Lei niczym echo po

wielokroć powtarzany, dociera na scenę, do naszego świata "żywych" ów lament, pełen smutku i bólu wyraz zwątpienia. Jest w tym stale powracającym pytaniu nie tylko rozpaczliwa bezsilność wobec obezwładniającej i druzgocącej, nienazywalnej pustki. Jest w tych słowach także niezgoda i gniew, jest bunt. Jak w pięknej i przejmującej scenie snu. "Mamo gdzie idziesz? Dlaczego odchodzisz? Nie umieraj! Zawsze umierasz" - wykrzykuje Lea nad ciałem Matki (Joanna Przybyłowska), rozpaczliwie próbując odrzucić ziemię, którą beznamiętnie zasypuje ciało swej żony Sender.

Dla twórców spektaklu zaczerpnięta z tradycji literatury kabalistycznej historia tragicznej miłości Lei i Chunona, opowieść o tajemnicy i bólu, jaki noszą w sobie postaci dramatu An-skiego, staje się punktem wyjścia do rozmowy o doświadczeniu uniwersalnym. O niewyrażalnej rozpacz i nienazywalnej pustce, jakie pozostawił po sobie wiek XX, w siedemdziesiąt dwa lata po wybuchu powstania w warszawskim getcie, i w sześćdziesięciopięciolecie powstania Teatru Żydowskiego im. Estery, Racheli i Idy Kamińskich.

"Zapraszam was wszystkich!" - przyzywa na swoje wesele duchy umarłych Lea. I zjawiają widma przeszłości. A wśród nich świadkowie Zagłady, mieszkańcy warszawskiego getta, ludzie związani z Teatrem, którzy przychodzą dać świadectwo. Meszulach/Posłaniec (skupiony, melancholijny Jerzy Walczak) opowiada historię małego, bezimiennego chłopca - Cherubinka. "Umarł w pierwszych dniach 45, wolny, ale nie wyzwolony. Nic po nim nie zostało, a mimo to daje świadectwo, za pośrednictwem moich słów" - kończy swą opowieść. A dla nas powoli staje się jasne, że w świecie po końcu, każdy z dybuków jest naszą pamięcią, jest śladem, jest szansą na ocalenie.

Na wielkim ekranie zawieszonym nad sceną, oglądamy filmowy obraz Warszawy. Kamera "z lotu ptaka" przygląda się fragmentom miasta, które kiedyś stanowiły tereny getta,

a dziś po prostu zrosły się z nowoczesną miejską tkanką. Jak to możliwe, zdaje się pytać Kleczewska, że kiedyś byliśmy tu razem, obok siebie - oni wszyscy nagle zniknęli, a świat nie rozpadł się, nie zatrzymał ani na chwilę. I nadal trwamy, jak gdyby nigdy nic się nie wydarzyło. I coraz rzadziej zadajemy sobie pytania. I już o nich nie myślimy, nikną ostatecznie ślady. Złamaliśmy nasze człowiecze przymierze. Zawiedliśmy.

Czy spektakl Kleczewskiej jest oskarżeniem? Raczej wyrazem zdumienia łatwością, z jaką nikną ślady najtragiczniejszych choćby zdarzeń, łatwością z jaką udaje się zapęłnić tę niewyobrażalną otchłań powszedniością. "Dybuk" to teatralny rytuał przywoływania pamięci oraz przestroga przed zapominaniem. I to przestroga skierowana także do tych, którzy, zamiast nieustannego mierzenia się z pustką, wybrali folklor, ludowy ornament i sentymentalne opowiadki. Z tej żydowskiej cepelii bezlitośnie drwią zresztą twórcy spektaklu w scenach "egzorcyzmów" nad opętaną przez ducha ukochanego Leą.

Dobiega końca Sąd Tory, na który Sendera wezwał Nissen, ojciec Chunona. Mężczyźni stają naprzeciw siebie, pośrodku pustej sceny. Nissen (Stramowski) kredą rysuje na scenie grubą linię. Chropowaty, rozdzierający dźwięk przenika gęstą ciemność spowijającą scenę. Oto stajemy na granicy światów. Karą za złamane przyrzeczenie jest śmierć. Wyrok zostaje wydany. Gdy opowieść dobiegnie końca, odnajdziemy pocieszenie w słowach Posłańca. Tylko czy jeden sprawiedliwy, jeden, który pamięta, naprawdę wystarczy, żeby ocalić świat?